

Stu dziesięciu

„Przebudzony, czwartkowy poranek patrzył na ulatujące życie”. W drodze na miejsce kaźni – z gettowego Śledczego Aresztu do odległych od Warszawy niewiele ponad dziesięć kilometrów Babic – ominięto cmentarz żydowski. „Nie wiedzieć dlaczego? Aby ślady zatrzeć, aby zbrodnia z wiatrem przeminęła?” – zapytał anonimowy autor opracowania pt. „Stu dziesięciu”. Pisał je z pozycji świadka, który przyglądał się wydarzeniom z końca czerwca i pierwszych dni lipca 1942 r. Dlatego zapewne w kolejnym zdaniu dopowiedział: „Jeden ślad pozostał: to zakrwawione palto Orlikówny, które odesłano nazajutrz do więzienia”. Prawdopodobnie autor znał – choćby z widzenia – właścicielkę palta. Nie wiadomo, czy pełnił funkcję więziennego strażnika czy policjanta w Służbie Porządkowej. Brakuje też źródeł wskazujących czy – nieoficjalnie – współpracował z „Oneg Szabat”. Jednak tekst spod jego pióra – niczym dowód w sprawie – jest jedynym w Archiwum Ringelbluma, który tak szczegółowo ukazał sprawę rzezi „Stu dziesięciu”: zbrodni dokonanej na takiej właśnie liczbie Żydów 2 lipca 1942 r. w Babicach. Jedną z ówczesnych ofiar była właśnie „piękna, młoda, dwudziestodwuletnia Orlikówna”.

Nim doszło do zbiorowego mordu, ofiary były aresztantami przetrzymywanymi w żydowskim więzieniu na Gęsiówce. Do codzienności należały składane w nim wizyty niemieckich władz. Zazwyczaj podstawę stanowiło sprawdzenie liczby osadzonych, warunków panujących w celach czy subordynacji służących tam strażników, a wszystko miało na celu ocenę, czy narzucony odgórnie system „wymiaru sprawiedliwości” funkcjonuje zgodnie z oczekiwaniami. W związku z tym obecność Niemców 23 czerwca 1942 r. nie wywołała szczególnego poruszenia wśród więźniów: zarówno skazanych, jak i ludzi bez wyroku. Kierownictwu Śledczego Aresztu Niemcy oświadczyli, że potrzebują stu Żydów do obozu pracy na Okęciu. Z nich – dodali – dziesięć aresztańtek do kuchni, a pozostałych – mężczyzn – do pracy w terenie. Obiecali, że wychodząc będą rano i wracać wieczorem: „Mówili chytrze i spokojnie. Kazali pokazać sobie cele i materiał ludzki. Tak jak nabywcy w domu towarowym”. Żydów z celi śmierci – około dwustu oczekujących

na realizację „wyroku” – nie brali pod uwagę. Zapewne nie chcieli naruszać „porządku prawnego”, skoro mieli już „wyroki”. Potrzebni im byli młodzi, zdrowi, sprawni i silni. Dlatego też nie uwzględnili aresztantów z kolejnej – „celi litości”. W niej w większości przebywali wychudzeni żebracy i chorzy nędzarze, którzy więzienie traktowali jak zbawienie: „Na wypadek zwolnienia ich z aresztu skazani byli na głodową śmierć na ulicy, tu przynajmniej mieli tę choć bardzo marną strawę: talerz wodnistej zupy i kawałek chleba. Ten «materiał» Niemcom nie przypadł „do gustu”. Dopiero dwie kolejne, tzw. cele inteligentkie, pozwoliły wytypować kilkadziesiąt osób, jednak wciąż im brakowało wymaganych stu. Dopiero „kiedy wyjrzeli na ogród więzienny, gdzie lśniły w słońcu opalone ciała do pasa obnażonych młodzieńców – zajętych przy robotach w ogrodzie – oczy Niemców zaiskrzyły się z zadowolenia”. Dokonali wyboru kolejnych, po czym nakazali sporządzić spis z nazwiskami wybranych i więzienie opuścili.

Przez kilka dni po Centralnym Areszcie krążyła pogłoska, że do garstki uwięzionych los się wreszcie uśmiechnął: przymusowa praca miała być namiastką wolności. Taka nadzieja prysnęła 27 czerwca. Komisarz „żydowskiej dzielnicy”, Heinz Auerswald, wydał zakaz opuszczenia więzienia przez „wybrańców”. Nawet jeżeli termin aresztu właśnie dobiegł końca albo pogorszył się ich stan zdrowia; wyznaczona liczba głów była spersonalizowana. Od kilku dni w więzieniu przebywała Orlikówna: „Zdawało się, że ratunek jest cudownie bliski. Zdarzył się jej nieszczęśliwy wypadek: upadła i złamała rękę. Odwieziono ją do szpitala. W przeddzień egzekucji Niemcy kazali sprowadzić ją do więzienia”. Twierdzili, że jest to symulacja. „Nie pomogło nawet zdjęcie rentgena”.

Niepokój ogarnął także członków Służby Porządkowej. Na dobre trwała walka władz niemieckich ze szmuglem. W tej dziedzinie każda ze stron – policja żydowska, polska i niemiecka – miała wymierny interes. W czerwcu 1942 r. trwało „polowanie” na „grajków” – żydowskich policjantów, którzy w losowo wybranym dniu pełnili służbę przy bramach do getta, określanych jako wachy. Elias Gutkowski z „Oneg Szabat” uważał, że padło na najważniejszych: bezpośrednio zaangażowanych w przemytniczy proceder. W praktyce jednak Niemcom szło o demonstracyjny pokaz siły i sprawności ich służb w ściganiu przestępców. Ofiarą miało paść dziesięciu żydowskich policjantów wyznaczonych przez Niemców: „Wobec tego, że kilku nie stawiało się, Niemcy zabrali funkcjonariuszy Służby Porządkowej przypadkowo zatrzymanych na ulicach, nic

wspólnego z całą sprawą niemających. Rachunek musiał sztytować. Zatrzymany został nawet jeden z konwojentów, prowadzących zaarrestowanych kolegów, a to w celu, aby uzupełnić potrzebną liczbę”. Uwięzieni, czekali na „sądny dzień”.

O ile wyrok wydany na żydowskich policjantów mógł uchodzić za uzasadniony, bo ze szmuglu czerpali wymierne korzyści (choć zaprzeczał temu Czerniakow), budził natomiast wątpliwości taki sam wyrok na stu cywilów. Kara miała ich spotkać za to, do czego zmuszała wytworzona przez niemiecką władzę rzeczywistość: nielegalne przekraczanie granic getta i kupno żywności. W połowie czerwca gettowy dziennikarz, Perec Opoczyński, oddał głos ulicy, pisząc: „Prosty lud twierdzi, że zabijanie Żydów, którzy szmuglują tę odrobinę jedzenia do getta, bierze się stąd, że Niemcy patrzą na nich jak na konkurentów”. Nie wiadomo czy panna Orlik należała to tych, którzy łamali tzw. „prawo” dla żywności, czy inne powody zmuszały ją do przechodzenia na tzw. stronę aryjską. O jej „płynnym” przemieszczaniu się ze strefy nakazanej do zakazanej decydowały dotąd łapówka i znajomości. Gdy więc pod koniec czerwca, po którymś z kolei nielegalnym przejściu przez wachę, odmówiła dać kolejnemu policjantowi należny mu haracz, i powiedziała: „Prowadź pan [na komisariat]”, spotkał ją zawód: „W komisariacie okazało się, że znajomy urzędnik od kilku dni już nie pracuje. Spisano protokół i Orlikówna powędrowała do więzienia. Zawisła nad nią groźba kary śmierci za przejście na aryjską stronę”.

W ostatni dzień czerwca wszystkie niepewności rozwiały ostateczne decyzje komisarza getta. Czerniakow napisał w „Dzienniku” pod tą datą: „Auerswald zamówił mnie na 4.45 [godzinę] celem doręczenia mi plakatu do wydrukowania. Kiedy się zjawiłem, doręczył mi plakat, że 100 Żydów i 10 porządkowych zostanie rozstrzelanych za przeciwstawienie się gwałtem zarządzeniom niemieckich policjantów”. Kilka godzin później – donosili gettowi kronikarze, Gutkowski i Lewin – Niemcy nakazali Wydziałowi Cementarnemu przy Judenracie, „wysłać do Babic 20 grabarzy do kopania grobu”. Nieznany z nazwiska autor odnotował: „We wszystkich tego typu przypadkach, po tym jak grabarze kończą swoją pracę, [Niemcy] rozstrzelują ich również, ich ciałami przykrywają [następnie] zastrzelonych, a potem wszystko zasypują. Robią tak [ci] mordercy, aby zatrzeć każdy ślad ich dzikich działań, żeby nie został nikt, kto ujawniłby tajemnicę. W tym [konkretnym] przypadku, w którym [zbrodnia ta] była otwarcie ogłoszona, zostawili przy życiu grabarzy”. Po wykonanej robocie otrzymali „zapłatę” – po 15 kilogramów

ziemniaków – i wrócili do getta. Wiadomość o zaplanowanej egzekucji szybko musiała rozejść się po żydowskiej ulicy. Przewodniczący Judenratu, Adam Czerniakow, usiłował – bezskutecznie – doprowadzić do wstrzymania egzekucji i wykupienia skazańców. „W całej dzielnicy [zapanowała] panika”.

W przeddzień egzekucji Czerniakow napisał w „Dzienniku”: „Przypuszczam, że tej nocy albo jutro nad ranem nastąpi egzekucja”. Kilka godzin później jego przewidywania się spełniły. Od godz. 4:00, cela po celi, skazańców wyprowadzono na więzienny korytarz. Także Orlikównę. Jak pozostałe kobiety: „Nie wiedziała, że idzie na śmierć”. Mężczyźni wyczuwali zagrożenie, tylko policjanci wiedzieli, że są prowadzeni na rozstrzelanie. „Ani jeden jęk nie wydobył się z ich ust. – relacjonował autor „Stu dziesięciu” – Schodzili w milczeniu, nie drgnęli, szli jakby już owiani spokojem oczekującej ich śmierci”. Im bliżej im było do wojskowych ciężarówek stojących przed gmachem Aresztu Centralnego na Gęsiej, tym mocniejsze i częstsze otrzymywali ciosy od niemieckich i ukraińskich żandarmów. Do wszystkich zaczynało docierać, że czeka ich śmierć: „Z jakimś niesłychanym bestialskim pośpiechem zaczęli [żandarmi] ładować ludzi, rzucono ich wprost do wozów. Słyszało się łoskot wrzucanych ciał, jeden na drugiego. Naraz trzask i jęk – to Orlikówna upadła na złamaną rękę. Chcieli ją unieść koledzy. Ona powinna leżeć! – padł rozkaz, i [policjant] kolbą przeszkodził skazańcowi pomóc leżącej”. Zapełniony pojazd ruszył. To był pierwszy kurs do Balic.

Biuletyn „Oneg Szabat” z dnia egzekucji donosił: „Każda noc pociąga za sobą w najlepszym wypadku kilkanaście, a nierzadko i kilkadziesiąt trupów żydowskich. W terminologii oficjalnej nazywa się to „walka ze szmuglem”. Kulminacją tej „walki” (o, rycerze bez skazy!) była oficjalna, urzędowa rzeź 110 (stu dziesięciu) Bogu ducha winnych mieszkańców żydowskich [warszawskiego getta]”. Treści wskazują, że wiadomości z miejsca kaźni błyskawicznie dotarły do mieszkańców getta, i stały się źródłem uzasadnionego strachu. Dla nielicznych były jednak tylko dopełnieniem zapowiadanych przez Niemców gróźb. Administracja więzienia nie otrzymała żadnego oficjalnego dokumentu o przeznaczeniu ponad stu więźniów, poza «pokwitowaniem» od Auerswalda, że zostali «przejęci». Trwała jeszcze egzekucja, gdy kierownik gettowego więzienia, Leopold Lindenfeld, w piśmie do Kuchni Ludowej prosił, by ta na dzień 2 lipca wydała o sto dziesięć porcji zupy mniej, bo zmniejszeniu uległa liczba więźniów. Wieczorem tego dnia na

murach getta rozlepiono 300 egzemplarzy plakatów z obwieszczeniem podpisanym przez Auerswalda. Egzekucja miała być dla niemieckiej władzy „zadośćuczynieniem” za nieposłuszeństwo gettowego społeczeństwa. W bardzo mglistym uzasadnieniu mowa była o „oporze”, „przekupstwie” i „innych ekscesach”, a w podsumowaniu: zapowiedź kontynuowania odwetowych akcji. „Niemcy przeprowadzili za jednym razem takie masowe morderstwo i donosili o tym w taki bezpośredni i ekstremalnie cyniczny sposób – skomentował tekst Obwieszczenia Abraham Lewin – Nie podają, kiedy i gdzie miały miejsce przypadki przeciwstawienia się siłą niemieckiej policji”. Tak samo sytuację oceniały redakcje „Jedies” [pismo Hechaluc-Dror], „Der Szturem” [pismo Bundu] i „Oneg Szabat”.

Nie wiadomo czy cała ludność warszawskiego getta potraktowała egzekucję stu dziesięciu Żydów w dniu 2 lipca 1942 r. „tylko” jako zaostrezenie przez Niemców restrykcyjnego kursu, ani czy tylko aktywni w życiu getta uważali to wydarzenie za niewiadomą, której koniec stanowić będzie zagłada. Wiele wskazywało, że szykuje się najgorsze. Od kilku miesięcy trwała już Akcja „Reinhardt”. Zapewne do niej nawiązywała notatka anonimowego autora, który zaraz po egzekucji „stu dziesięciu” pisał o „setkach gmin, [które] mordercza ręka zniszczyła z korzeniami”. Jakby przewidywał, że to samo może spotkać Żydów warszawskich. Abraham Lewin wspominał o przybyciu do Warszawy „oddziału SS” do realizacji specjalnego zadania: „Ma [on] przejąć [władzę] nad gettem, ponieważ Auerswald, nasz komisarz, jest zbyt liberalny”. Za żydowską ulicą powtarzał pogłoski o „zaplanowanym wygnaniu z getta kilkudziesięciu tysięcy Żydów”. Jednak wprost faktów z pogłoskami nie połączył. Może celowo nie dopuszczał najczarniejszych myśli. Tak jak nie przewidywał, że dwadzieścia dni po rozstrzelaniu „stu dziesięciu” rozpocznie się „Wielka Akcja”.

Paweł Wieczorek

Data publikacji: 2022-06-13

Data wydruku: 2022-06-13 23:06

Źródło: <https://1943.pl/arttykul/stu-dziesieciu/>